

z pod której wymykały się kosmyki czarnych włosów, spadających na twarz żółtą, powiedła, zorana gęstemi bruzdami. Coś kontrastowego było w tej postaci. — Ciężkość ruchów i siła, nie łączyły zupełnie z surowym obliczem. — Nie dłużej czasu wyrły te głębokie bruzdy, lecz były one dziełem jakiejś zsalonej burzy, która miotła tę istotą.

Przebywszy lasak, kobieta zbliżyła się do drogi, prowadzącej do wsi. — Mnóstwo ludzi ciągnęło tamtędy; — wielu przechodziło też koło idącej, ale nikt jej nie pozdrowił, nikt nie zwrócił uwagi na nią. — Przechodzili obojętnie, jakby była obcą w tej wsi. — A przecież to jej gniazdo rodzinne. — Tu się urodziła, tu przeżyła swoje nędzne dzieciństwo, tu straciła rodziców w zaraniu życia i tu w końcu pędziła ów twardy i ciężki żywot, ową dolę sierocą. — A przecież, każdy z tych, którzy przechodzili, zna ową biedną „Marynę wyrobnicę“, ale komu by się chciało dbać o ubogą kobietę, którą się wszyscy wysługują.

Maryna tymczasem skierowała swe kroki w małe powórko, w głąb którego widniała stara chata. Dach słomiany dotykał prawie ziemi, zakrywając do połowy okienka. — Odśladawszy zasuwę, kobieta dostała się do wnętrza chatki, które stanowiły małą sjonka i jedna, prawie pusta izba. Maryna rzuciła chustę i zabrała się do rozdmuchiwania ognia, którego resztki tlały jeszcze w popiele. Po chwili buchnęły snopy czerwonego ognia, oblewając gorącym twarz Maryny. Kobieta zręcznie i szybko zabrała się do gotowania strawy, z którą czekała na syna. — Po chwili wszedł do izby wysoki i przystojny chłopak o zdrowej cerze, z twarzą wesołą, pogodną. Twarz Maryny zajaśniała prawie wesołym blaskiem.

— Spóźniłście się matko — rzekł łagodnie chłopak. — Już od chwili wyglądam was z okien kuźni.

Kobieta poruszyła nerwowo brwiami, a w twarzy jej zgasł ten chwilowy blask zadowolenia.

— Chodziłam na grób ojca — rzekła cicho. — I twarz chłopca zachmurzyła się, a w myśli stanął mu krwawy obrazek śmierci ojca, który pracując w miejscu przy murarce, spadł z rusztowania i zabił się na miejscu. Ten tragiczny wypadek wyrł się w pamięci chłopca, choć miał wtedy lat kilka. — Po spożyciu marnego posiłku syn usiadł na progu chatki i zajął się rzeźbieniem figurek w drzewie. — Maryna przypatrywała się robocie chłopca z uwielbieniem.

— „Jak ty to ładnie robisz“ — rzekła po chwili, a na twarz jej wystąpił uśmiech łagodny, który jak promyczek słoneczny rozjaśnił jej lica. — Nie mogła jednak długo cieszyć się tym widokiem, bo wyłwały ją obowiązki, czekała ją zwykła praca. — Już szarzyć zaczęło, gdy Pawełek wciąż schylony nad swoją robotą, nie podnosił od niej oczu. Wielki talent przebijał się w jego pracy, ten jednak nie mógł być rozwinięty, bo któżby się troszczył o syna biednej wyrobnicy.

Dwa lata minęły od owego dnia, a w życiu Maryny nie zaszła żadna zmiana. Pracowała dalej ciężko w nędzy i poniewierce; tylko, że siły się już wyczerpywały, tylko że doła ta twarda przysgniatła ją coraz bardziej swoim ciężarem. — Jedyne jasnym promykiem jej życia, jedyną pociechą był syn Pawełek.

Ale widocznie, że i tego pozazdrościł jej los, widać że do reszty chciał złamać tę swoją ofiarę. — Bo oto w kraju wybuchła straszna wojna. — Ogniem i mieczem pustoszyła ta władczyna potężna miasta i wioski. — Śmierć, nędza, niewola i rozpacz, jej siostrzyce, towarzyszyły jej wiernie. Jęki i płą-

cze rozlegały się naokoło — bo setki, tysiące ludzi ginęły pod jej dłonią.

Dla Maryny wybiła w ów czas straszna godzina; bo oto pewnego wieczora Pawełek pożegnał się z nią na wieki. — Poszedł tak jak inni do walki, stanął w szeregi bratnie z nadzieją lepszej przyszłości, z zapamiętaniem młodego bohatera.

Ale co się działo w sercu matki w ową noc po odejściu syna — nikt nie zdoła odgadnąć. — O! bo też straszna była ta noc! — Walka toczyła się w pobliskim lasu, Ogromna łuna czerwonego światła ciążyła na ołowianem niebie. — Kurzawa unosiła się nad lasem. — Jęki konających, krzyki mordowanych, mieszały się z odgłosami armatnich wystrzałów.

Maryna skulona na swoim posłaniu, wpatrywała się w te figurki rzeźbione przez Pawełka, a po jej obliczu płynęły łzy. — Wtem armatnie strzały dały się słyszeć coraz częściej, a chałas w lesie wzmagął się z każdą chwilą. — Biedna kobieta blademi ustami szepotała pacierze, powtarzając te same modlitwy po kilka razy. Chwilami zatykała sobie uszy, aby nie słyszeć co się dzieje, chwilami przed oczyma jej stawał krwawy obrazek bitwy, w którym widziała Pawełka, a wtenczas porywała ją szalona chęć, bronienia go w jakikolwiekby sposób przed śmiercią.

Noc męczarni piekielnych dobiegała końca — dniało. — Szare światło pochmurnego dnia zasnuwało ziemię. — W lesie ucichły ostatnie wystrzały. Powietrze ciężko dyszało po nocnej walce, a wicher czasem podnosił słupy kurzawy, wylądzo a chichotał.

Z chatki przy drodze wybiegła zgarbiona postać. — W miarę jak zbliżała się do lasu, siły jej słabły, krok stawał się chwiejny.

Była to Maryna... Błado żółta twarz pokryta ceglastym rumieńcem, drgała nerwowo. — W lesie straszny obraz rozciągał się przed jej oczyma. — Na dróżyce leśnej, między drzewami, w rowach, leżeli ranni, konający i umarli.

Maryna w każdego trupa i rannego wpatrywała się obłąkanym wzrokiem. — Znaleść go — znaleźć choćby trupa — kotłowało w biednej głowie. — Przebiegła już cały las, ale nigdzie ani śladu z Pawełka. — Jakaś kobieta, klęcząc nad umarłym, odmawiała modlitwy. — Maryna z rozpaczą przypadła do niej w nadziei otrzymania jakiejś wiadomości. Zbliżyła się do niej i wtem... „Pawełek“ — rozległ się straszny, rozdzierający krzyk. Maryna stała blada, trzęsąca, z wykrzywionymi ustami. — Stała tak bez ruchu, bez słowa. — I tylko coś na kształt wycia zwierząt, wyrывało się z jej gardła. — Kobieta klęcząca odwróciła się, a zobaczywszy za sobą straszna postać, chciała się oddalić, gdy wtem Maryna zerwała się z miejsca i chwyciwszy kobietę za ramiona, zaczęła ją silnie potrząsać, wyjąc w spazmatycznym śmiechu. — „Kto ty? Śmierć?“ — Ratunku! — rozległo się po lesie. — Krzyk duszonej kobiety wytrzeźwił chwilowo Marynę, więc puściwszy kobietę, z szalonym spazmem płaczu rzuciła się na zwłoki syna. Chwila ciszy.

Las zaszumił, zakolysały się smukłe sosny i jodły, tworzące baldachim nad zwłokami zmarłych! — Z tego szumu drzew leśnych, wyrwał się jeszcze jeden krótki okrzyk ludzki i wnet skonał. — Drzewa stały poważne, milczące, a dzwonki leśne, służące Marynie i jej synowi za kobierzec pośmiertny dzwoniły głucho: „Wieczny odpoczynek racz im dać Panie!“

Wrzos.